

Maciej Pawlikowski

Zaraz będzie ciemno

Wypadłem w przód, z impetem, przeważony ciężkim plecakiem. W mimowolnym odruchu chwyciłem się czyjejś bluzy, pociągając jej właściciela za sobą. Gruchnęliśmy twardo na łąkę, bo żaden peron wówczas się tam nie znajdował. Był rok 2003, miejscowość nazywała się Żary i dowożące ludzi pociągi nie zatrzymywały się w mieście, lecz na specjalnie zaaranżowanej stacji. Stacja nazywała się Przystanek Woodstock.

Miałem wtedy szesnaście lat i był to ten wyjątkowy okres w życiu, w którym słuchanie Nirwany na przemian z Mayhem, Defektu Muzgó z Billie Holiday, nie pociągało za sobą większych konsekwencji dla spójności gustu. Gdy pociąg po ponad dwunastu godzinach zatrzymał się wreszcie na dobre, a ja potknąłem się i wypadłem na łąkę, znalazłem się w miejscu – będę to jeszcze wiele razy podkreślał – specjalnym. Wszystko wyglądało znajomo. Pola zbóż, przycinane okazyjnie ścianami drzew, ciągnęły się bez końca. Byłem gdzieś w Polsce, na tle – niech będzie – polskich pejzaży, a człowiek, który wypadł ze mną, komentował moją nieostrożność głośno, po żołniersku, lecz zdecydowanie po polsku. Było to miejsce znajome i typowe, na pewno nie niemożliwe. A jednak, tysiące ludzi, maszerujących już w korowodach wyznaczonymi ścieżkami przez pola, lawirujących między strzeżonymi przez czerwone koszulki zbożami, zaświadczały co innego. Od paru dni żyło niezaznaczone na żadnych mapach miasto, choć pod względem tymczasowo zamieszkującej je ludności konkurujące z Krakowem. Miasto nie miało swojego samorządu, nie patrołowały go wozy policyjne, nie było w nim ani przejezdnych dla samochodów ulic, ani zaludnionych budynków. Miasto składało się za to z kolorów, dźwięków i wszechobecnego kurzu. A nade wszystko – z niepojętej, niepoliczalnej ilości ludzi.

Wiele o Przystanku Woodstock napisano, choć cały czas sędzę, że za mało. Inicjatywy stworzenia największego openaira podejmuje się Fundacja Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy od roku 1995. Z założenia ma to być podziękowanie dla wolontariuszy i tych, którzy wsparli zimowe zbiórki na rzecz Orkiestry. W praktyce od wielu lat jest to największy festiwal muzyki rockowej w Polsce (a w zależności od szacunków i przyjętych kryteriów, w Europie i na świecie), frekwencją bijący kolejne rekordy, zupełnie jak coroczne zbiórki WOŚP. Przyjęta nazwa to nawiązanie do amerykańskiego Woodstock, zaś słowo „przystanek” wziąć się miało z popularnego niegdyś serialu *Przystanek Alaska*. Przez lata Przystanek gościł w czterech miejscach w Polsce: w Czymanowie, Szczecinie-Dąbiu, Żarach i

Kostrzynie. W 2000 roku miał się on odbyć w Lęborku, lecz w wyniku protestów „komitetu antywoodstockowego” Jurek Owsiak, pomysłodawca i ojciec imprezy, z planów zrezygnował. Do Lęborka „na dziko” przyjechało jednak około półtora tysiąca osób. Od 2004 roku festiwal odbywa się w Kostrzynie. Tu również powstał odpowiedni komitet składający się z trzech osób. Po pierwszej edycji burmistrz miasta zorganizował referendum. Mieszkańcy mieli odpowiedzieć na jedno pytanie: czy Przystanek powinien nadal odbywać się w Kostrzynie? Oddano niemal dwa tysiące głosów. Dwie osoby były przeciw.

Wtedy, w Żarach, poszedłem przez łąki w stronę huku i kurzu. I powtórzyłem to potem dziewięć razy, co roku przygotowując śpiwór i namiot. Nie odstraszała mnie ani medialna nagonka (nasilająca się w zależności od tego, jaka opcja polityczna akurat rządziła państwową telewizją), nagłówki skandujące z pierwszych stron gazet: „Przystanek śmierć” albo „Przystanek do piekła”, zestawianie w programach informacyjnych Woodstocku z pielgrzymką do Częstochowy, zmieniająca się z roku na rok infrastruktura imprezy i aż nadto widoczne logo sponsorów, nie odstraszyła wreszcie sława i zwiększający się tłum, niegdyś stutysięczny, a rekordowo sięgający ostatnio siedmiuset tysięcy osób. Nie zniechęcił mnie nawet line-up imprezy, niepokrywający się w większości z moimi gustami, bo też Woodstock jest tą imprezą, o której można napisać długi artykuł bez sprawozdania choćby z jednego koncertu. Gdyby zatrzymać tam jedną z tych wielu przybrudzonych osób i zapytać, po co tu jesteś, większość odpowiedziałaby: dla ludzi.

Przyznając sobie zatem prawo do tymczasowej rezygnacji z pokoleniowego cynizmu, zawtóruję tej odpowiedzi. Sądzę, że takie podejście odpowiada przyjętemu sposobowi działania Fundacji, ukierunkowanej na zabarwienie tego, co zwykle wydaje nam się szare i nieprzyjemne. Sądzę również, że Woodstock jest trochę jak sam Owsiak; pacyfizm spotyka się tu z zادیornością, profesjonalizm ze spontanicznością, a otwartość z poszanowaniem zasad. Przystankowi Woodstock udało się to, co nie udało się reaktywowanemu Jarocinowi (inna sprawa, że w przypadku tego drugiego festiwalu założenia były zgoła odmienne): to właśnie tu przybyła cała zbuntowana uliczna ferajna, uznając Żary, a potem Kostrzyn za miejsce swoje, a Przystanek Woodstock za doroczne święto. Przeglądając rozmaite wywiady z prezesem WOŚP, jego wystąpienia w telewizji, jego teksty i blogi, można również wysnuć tezę, że Owsiak zrobił dla polskiej kontrkultury więcej niż niejeden punkowy zespół. To on z uporem broni tej publiki i nazywa przyszłością, a z ewentualnych wybryków młodzieży tłumaczy się w telewizji. Jeśli zbuntowana kontrkultura po upadku PRL straciła na swojej

wartości, bo ze zmianą rządu i instytucji porządkowych utraciła namacalnego wroga, jeśli wówczas znacznie pogorszyła się jej opinia i z formy młodzieżowej kontestacji niesprawiedliwej władzy zdegradowano ją do patologii, narkomanii i bezpodstawnej agresji, to Jurek Owsiak jest tą osobą, która wyciągnęła kontrkulturę z brudnej ulicy wprost w kolorowe światła Fundacji. Otaczając się tymi ludźmi, zapraszając ich nie tylko na wielki koncert, ale i na szkolenia, a przede wszystkim czyniąc ich wolontariuszami, nieustannie podpada tym, którzy woleliby niewygodną grupę odesłać do historii. Tymczasem Owsiak stale zaskakuje i wywraca przyjęte stereotypy do góry nogami. Hasło „Róbta, co chceta”, które tyle razy boleśnie kojarzono z proklamowaniem anarchii, wręcz libertynizmem, zdołał wyprać i dziś media tłumaczą je jako niepowstrzymaną chęć niesienia pomocy potrzebującym w rytm rock’n’rolla (sic!). Kultowe hasło *Sex, drugs and rock’n’roll* z powodzeniem zamienił na *Miłość, przyjaźń, muzyka*. Groźnie wyglądającą, zakolczykowaną młodzież nauczył krzyczeć: *Stop przemocy, stop narkotykom!*, a stereotypowego, nieszczęsnego, brudnego i pijanego punkowca uczynił wolontariuszem zbierającym pieniądze na pomoc wcześniakom. Oto właśnie fenomen instytucji Jurka Owsiaaka i WOŚP. Nie chodzi już o sam fakt zbiórki na szczytny cel, lecz o redefiniowanie zastanych założeń; o inicjatywę spotkania dwóch, trzech, setek grup o różnych poglądach i zderzeniu nierzadko wykluczających się opinii.

Gdy się to wylicza, wydaje się to nieco naiwne, jednak ilekroć staję na kostrzyńskim polu, utwierdzam się w przekonaniu, że Jurek Owsiak to taki ideologiczny *troll* polskiej kultury. Posądzają go o antypolskość (cokolwiek to znaczy), a on organizuje jeden z poważniejszych patriotycznych zrywów w kraju, czy to odgrywając rockową wersję Mazurka Dąbrowskiego, czy to rozkładając gigantyczną flagę Polski pod sceną podczas występu Sabatonu.

A przy tym Owsiak pozostaje niepokorny. Przystanek Woodstock od czasu przeprowadzki do Kostrzyna stawia na dialog polsko-niemiecki (bodaj największym sukcesem było [zaproszenie prezydentów Polski i Niemiec w 2012 roku na rozpoczęcie festiwalu](#); prezydenci odpowiadali później na pytania młodzieży w namiocie Akademii Sztuk Przepięknych), lecz nie przeszkodziło to Owsiakowi zrugać Die Toten Hosen i przerwać występ niemieckiej gwiazdy, gdy ich technicy odcięli internautom fonię. Ze swojej niesforności sam się zresztą śmieje, przytaczając w wywiadzie-rzece (J. Owsiak, J. Skaradziński, *Przystanek Woodstock. Historia najpiękniejszego festiwalu świata*) swój telefon do TVP podczas występu Orkiestry Filharmonii Wrocławskiej na głównej scenie Przystanku:

Szybko zadzwoniłem jeszcze raz do telewizji i w może nie krótkich, ale zdecydowanie żołnierskich słowach poinformowałem panią dyspozytor, że: „Tu jest kilkaset tysięcy młodych ludzi, którzy przyjechali, by na rockowym koncercie posłuchać muzyki poważnej. A wy – pierdolone skurwysyny – nigdy nie potraficie zauważyć czegoś, co jest ważne, tylko jak zwykle rechocze z baranów [z Kabaretonu – dop. M.P.]. A potem się dziwicie, że koleś wali w żyłę albo innemu koleśowi zakłada linę na szyję. Pierdołę was i całą waszą jebaną telewizję. Jutro o tym się dowie cała Polska”.

I między innymi dzięki takim wystąpieniom młodzież uznaje go za autentycznego i obdarza zaufaniem. A przecież oni – my – na swój sposób są wściekli na kraj, w którym się urodzili, na państwo, którego nie wszystkie zasady akceptują. Oburzeni, z zacisniętymi pięściami, z groźnymi minami, odziani w uniformy rodem z filmu *Mad Max*: skóry, kolce, łańcuchy i bandany. Jakby zawsze gotowi na wielką wojnę, która już się odbyła, którą być może nawet przegrali. Wojnę już nie z władzą, lecz z czasem, z nazbyt szybko mijającą młodością, po której zostają nadpsute rekwizyty bez instrukcji obsługi: dziurawe glany, straszące ćwiekami pieszczochy, sprute naszywki, pirackie, zdarte kasety z rockowymi balladami.

Pieczołowitość, z jaką kontrkultura kompletuje swoje stroje, jest zadziwiająca. Oczywiście, to spuścizna po minionych modach: anglosaskim punk rocku i nowej fali brytyjskiego heavy metalu, jamajskim reggae czy wreszcie po jarocińskiej rebelii. Jednak współczesna polska kontrkultura, ukształtowana w dużej mierze już przez Przystanek Woodstock, nie Jarocin, w większości oparła swoją ideologię na nienegocjowalnym pokoju i wolności. W pogo już się ludzi nie kopie, lecz podnosi. Nie rzuca się kamieniami, lecz organizuje performance. Złośliwi powiedzą, że bunt zawleczony pod pręgierz biznesu i konsumpcji spokorniał, że krzyk i sprzeciw nie mogą być autentyczne, skoro tożsamość niegdyś buńczuczną i agresywną firmują dziś mainstreamowe wydawnictwa i przedsiębiorstwa, wzbogacając bunt o kategorię opłacalności. Złośliwość dostrzegalnej tu ironii polega na tym, że niegdyś z transparentem i wściekłością bunt w całej sile manifestował się na miastowym rynku, dziś natomiast zmuszony jest do nierzadko karykaturalnej emanacji na rynku zbytu.

A jednak napisy wymalowane na ciężkich ramoneskach zawzięcie głoszą, że *punx not dead*. Zgodzę się, to forma smutnego cytowania „lepszej” przeszłości, tęsknota za czasami, w których walka wydawała się mieć sens. Podobnie jest z Przystankiem; przez lata impreza rozrosła się, infrastruktura rozbudowała, a co za tym idzie, sponsorzy ozdobili pola namiotowe adresami swoich witryn internetowych. Najpoważniejszym zarzutem wobec

festiwalu, z jakim spotkałem się w ostatnich latach, jest właśnie zarzut o zwyczajową już komercję. Trudno przejść przez pole, nie zauważając ogromnych sponsorskich afiszy bądź nie będąc zaczepionym przez panią sprzedającą woodstockowe karty pre-paid pekao, ale czy to znaczy, że powinniśmy sobie wreszcie kupić nowe buty? Jeśli dziś bunt chce mieć trampki Converse'a i darmowe minuty w Playu, być może przemiana Przystanku Woodstock – z imprezy dość hermetycznej, nieinteresującej dla mainstreamu, toteż nieopłacalnej – w formę otwartego międzykulturowego pola – jest jedynym możliwym i sprytnym wyjściem? Oczekiwanie od Przystanku Woodstock, że będzie kontynuatorem jarocińskiej, peerelowskiej zadymy i akceptowanego przez władzę wentylu bezpieczeństwa jest cokolwiek nie na miejscu w kontekście wolnego rynku i demokratycznych rządów. Wspomniana Akademia Sztuk Przepięknych, miejsce spotkań z osobami ze świata polityki (warunkiem ma być zakończona kariera), dziennikarstwa, sportu i sztuki, stała się punktem wyjścia do przemian Przystanku, traktowanego już nie tylko jako gigantyczny koncert z najlepszym nagłośnieniem na świecie K1 i nie gorszymi światłami, lecz także jako miejsce do prowadzenia dialogu. „Komercha” w tym wypadku jest zatem nie końcem, a krokiem naprzód i próbą dostosowania wywrotowej imprezy do dzisiejszych standardów, bez których koncerty nie mogłyby się odbywać.

Pomimo tych zmian *najpiękniejszy festiwal* pozostaje wciąż tym samym miejscem. *To jest wasz kawałek ziemi, o który dbajcie*, krzyczy Owsiak w *Najgłośniejszym filmie Polski*. Między innymi dlatego wracamy tam tak, jakbyśmy wracali do domu. Woodstock jest za darmo, ale nie tylko to czyni festiwal tak otwartym. Choć koncert regulują dziesiątki stron regulaminów i umów zawartych między służbami porządkowymi i władzami miasta, swoje zasady wprowadzają również Woodstockowicze, wyznaczając granicę tego, co można, a tego, czego robić się nie powinno. W żadnym innym miejscu nie widziałem tylu wzajemnie pilnujących się osób; zupełnie tak, jakby nagle zaczęło nas obchodzić czyjeś anonimowe życie. Przykładowo, nie ma żadnego punktu w regulaminie określającego odległość, jaką tłum powinien zachować od sceny. A jednak, wbrew wszelkim wyobrażeniom, pod sceną jest najluźniej i najbezpieczniej. I jeśli ktoś zechce posiedzieć oparty o jej deski przez cały koncert, nic nie stoi na przeszkodzie. Tego rodzaju zjawisk jest więcej, wliczając w to słowną pacyfikację tych, którym wolność za bardzo uderzyła do głowy.

Duże festiwale przyjęło się nazywać miastami, jednak w przypadku tego organizowanego przez WOŚP jest to o tyle słuszne, że Woodstockowicze nie tyle pole namiotowe zajmują, co je stawiają. Nie tylko rozkładają namioty, ale i grodzą je, budują maszty z flagami swoich

miast i krajów (choć moją ulubioną flagą jest ta z napisem: *Mamo, żyj!*), tworząc niejako osiedla lub organizując się we własne wioski. Do najdziwniejszych konstrukcji, jakie spostrzegłem na polu, należała wybudowana drewniana antresola do oglądania koncertu z daleka i... przysznic postawiony w lesie. Wyobrażenia przyjezdnych wydaje się nie mieć granic, bo widziałem już przywiezione z domów fotele, kanapy i... najprawdziwsze kuchenne lodówki. Spektakl się zaczyna, trzeba zająć odpowiednie miejsca.

Tłum ludzi, te setki tysięcy, to rzeczywiście widowisko godne obejrzenia. Ciekawe, że – niczym w prawdziwym mieście – już po pierwszym dniu po polu krążą miejskie legendy w postaci powielanych i modyfikowanych anegdot o tym, co kto widział i gdzie kto był. Najpopularniejsze od wielu lat dotyczą poszukiwanego Andrzeja. Po prostu, gdzieś ktoś kiedyś słyszał nawoływania Andrzeja, więc dołączył do krzyków. Chwilę potem krzyczały już setki gardeł, a krzyk ten powtarza się w każdym kolejnym roku. I chyba najślawniejsze zawołanie: *Zaraz będzie ciemno*, na które koniecznie musi paść odpowiedź: *Zamknij się!*

Jest około godziny piątej. Wychodzę przed zawilgocony namiot i siadam w rosie. Względna cisza drugiego dnia Przystanku ogłasza, że powoli kończą nam się siły. Z oddali daje się słyszeć krzyki tych, którzy zapomnieli się położyć i kontynuują poszukiwania Andrzeja. A poza tym front śpi. Nieznajoma mi dziewczyna wychodzi ze znajomego mi namiotu i oddala się w stronę ściany lasu. Punkowiec kręci się wokół drzewa, by znaleźć wreszcie odpowiednie miejsce do spania. Zapalam papierosa, chowając się między namiotami. Nie chciałbym teraz mówić, używać głosu, odpowiadać nieznanym, że mało mam. Jest mi bezwzględnie dobrze, choć drzę od zimna, wilgoci i trzeźwości, choć marzę o ciepłym łóżku i gorącej herbacie, godzinnej kąpieli i głuchoj ciszy. *Świat nie ma ramion, nie ma ciepłego oddechu*, pisał poeta, ale przecież tu właśnie czuję jego oddech i nie jest on szczególnie dotkliwy. Czuję się natomiast potrzebny, obecny, wymagany. Jakbym wrócił do dawno nieodwiedzanego domu. Albo do kraju. Jakby ktoś rzeczywiście na mnie czekał. Jestem sponiewierany, ekstremalnie wycieńczony, jasne, ale na miejscu. To małe miasto-polis, powstające raz do roku na te kilka dni, wielu przyjeżdżającym daje nie tylko wakacje, ale poczucie szczęścia. To festiwal ironicznego śmiechu, wymierzonego w wystrojoną powagę nudnej codzienności. Bachtin miałby nowe przykłady dla swojego karnawału. A my możemy jeszcze krzyczeć całą następną noc.

Dochodzi szósta. Kładę się, nim obudzą się żołnierze. Szczękam zębami. Niebo nad polem robi się coraz jaśniejsze. Wstaje nowy dzień. Zaraz będzie ciemno.